

Tymieniecki, Kazimierz

Z metodyki badań nad starożytnościami słowiańskimi

Przegląd Historyczny 37, 7-21

1948

Artykuł umieszczony jest w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych, tworzonej przez Muzeum Historii Polski w Warszawie w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego.

Artykuł został opracowany do udostępnienia w Internecie dzięki wsparciu Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego w ramach dofinansowania działalności upowszechniającej naukę.

KAZIMIERZ TYMIENIECKI

Z METODYKI BADAŃ NAD STAROŻYTNOŚCIAMI
SŁOWIAŃSKIMI

Przed z górą siedemdziesięciu laty Tadeusz Wojciechowski w swym roz-
biorze starożytności słowiańskich pt. Chrobacja (Kraków 1873) bardzo słus-
nie zauważył, że błędy historyczne są najczęściej błędami logicznymi.
W istocie błędy, wynikające z fałszywego rozumienia źródła, są mniej częste,
a jeżeli nawet zdarzają się, to łatwiej je potem usunąć. Znacznie gorzej
przedstawia się sprawa z błędami logicznymi. Te raz popełnione z wielkim
trudem tylko dadzą się wykorzystać. Typowym tego przykładem może być
pogląd, utrzymujący się bezapelacyjnie przez znaczną część w. XIX-go
w nauce europejskiej, a mający swych zapóźnionych zwolenników nawet
do dziś dnia, na pochodzenie szeregu urzędzeń wiejskich, znanych tak z póź-
niejszego średniowiecza jak i z doby nowszej, a w szczególności tzw. przy-
musu rolnego, związanego ściśle z trójpolowym systemem uprawy. Na drodze
czysto rozumowej wyprowadzono go, jak również istnienie w tejże wsi wspól-
nych użytków pastwiskowych i leśnych z pierwotnego porozumienia zbioro-
wego mieszkańców. Na tej podstawie opierała się cała teoria o pierwotnej
wolnej gminie wiejskiej, ochrzczonej jako wolna gmina germańska (czyli
tzw. Markgenossenschaft). Do tego dopiero wydedukowanego wniosku starano
się nagiąć rozumienie miejsc, rozsianych u autorów starożytnych i w tzw.
„leges barbarorum“ z wczesnego średniowiecza, ale głównie z epoki karoliń-
skiej. W gruncie rzeczy oparciem dla powyższej dedukcji były nawyki my-
ślenia, nie oparte o jakąś konkretną wiedzę. Porozumienie mieszkańców
dziwnie przypomina „umowę społeczną“, stworzoną jeszcze przez Jana Ja-
kuba Rousseau, ale dobrze zagnieżdżoną wciąż w umysłach trzeciego czy
czwartego dziesięciolecia w. XIX. Drugim takim nawykiem myślenia, który
w danym wypadku odegrał rolę, było przekonanie o „germańskości“ całego
wczesnego średniowiecza i to nawet na terenach porzymskich, w których
nigdy żywił germański nie odegrał poważniejszej roli. Właściwy błąd lo-
giczny tkwił w powiązaniu rzekomego stanu pierwotnego z istniejącym stanem
późniejszym, który w istocie miał swoje źródło zupełnie w czym in-
nym, a mianowicie w dyspozytywnej władzy samej zwierzchności domi-
nialnej, której tworem był ustrój wiejski. Bardzo bliskim tamtemu jest inny
przykład, dotyczący „miru“ albo „obszczyzny“ w Wielkorosyjskiej. W szczegól-
ności tzw. „słowianofile“ z połowy w. XIX skłonni byli uważać go za pra-
dawną instytucję a zarazem niemal świętość narodową. Mieli oni, trzeba
przyznać, w swym wnioskowaniu podstawę nieco bardziej realną, aniżeli

zwolennicy „Markgenossenschaft“, która w nadawanym jej rozumieniu była tworem w ogóle nigdy nie istniejącym. Ale jeżeli „mir“ był tworem realnym w dobie nowszej, a pełnego swego znaczenia nabral zwłaszcza w okresie od zniesienia poddaństwa w Rosji w r. 1861 aż do tzw. reformy Stołypina bezpośrednio po rewolucji z r. 1905/6, to przeniesienie go do najdawniejszej doby słowiańskiej i nadanie mu ogólno-słowiańskiego charakteru nie opierało się ani na źródłach dawniejszych — próby przeprowadzenia „post factum“ dowodu źródłowego, jak to miało miejsce przy niemieckiej „Markgenossenschaft“, właściwie nigdy nie przeprowadzono — ani na uwzględnieniu innych obszarów słowiańskich, chociażby nawet najbliższych, a więc małopolskich i białoruskich. W gruncie rzeczy więc była to również dedukcja, oparta na nie dość jasno sformułowanych wyobrażeniach o pierwotnych stosunkach słowiańskich, których powstanie należy raczej do historii teorii literackich. W tworzeniu się tych wyobrażeń odegrały rolę wpływy zachodnio-europejskie, a należy również pamiętać o analogiach polskich z pierwszej połowy w. XIX. W sprawie „Markgenossenschaft“ usunęli wiele złudzeń Fustel de Coulanges i A. Dopsch, w sprawie „miru“ jeszcze dawny Cziczerin i pośrednio niektórzy nowsi badacze gminy wschodnio-europejskiej a w szczególności bizantyńskiej (Ostrogorski). Teoria niemiecka była bardziej rozbudowana — bardziej „naukowa“, gdy tamta bardziej literacka, a ślad i błąd tkwiący w niej był trudniejszy do usunięcia. W ogóle nauka niemiecka, jak może żadna inna w Europie, obfituje w liczne „myty“, które opierają się na przyjęciu fałszywych przesłanek, z których dalsze skomplikowane nieraz systemy, wyprowadzone na drodze rozumowania, wynikają. Wiele takich mytów odnajdziemy lub już odnaleźliśmy w dziejach stosunków niemiecko-słowiańskich lub niemiecko-polskich, a w tym wypadku współodpowiedzialność ponosi nauka nie tylko tamtej ale i tej strony. W okresie ściśle analitycznym historiografii polskiej, który możemy w przybliżeniu datować od założenia „Kwartalnika Historycznego“, a więc w kilkanaście lat po ukazaniu się „Chrobacji“ T. Wojciechowskiego i uczynionej przez niego uwagi, aż do wybuchu pierwszej wojny światowej, nie ustrzeżliśmy się od tej zależności, a bodaj nawet pogłęбилиśmy ją jeszcze bardziej. Działo się tak dlatego, że wysokie wymagania „źródłowości“ nie umiano w wielu wypadkach rozciągnąć na same założenia naszych wniosków. I choć to może pięknie o nas świadczy, ale w tym wypadku okazało się niepraktyczne, wymagaliśmy więcej od siebie aniżeli od innych. W zapale tylko badawczym zbyt łatwo przyjmowaliśmy podsuwane nam założenia. Nie tworząc własnych mytów, musimy się jednak uwolnić od mytów nam narzuconych. Interesująca i bardzo sumienna książka M. Friedberga o Kulturze polskiej i niemieckiej (I i II 1946) wiele takiego materiału zestawia. Podobne wnioski nasuwają, może nie pierwszy raz, badania H. Müncha, dotyczące miast polskich.

W zakresie starożytności słowiańskich, a mamy na myśli w przytoczonym zaraz niżej przykładzie starożytności społeczne, ci, którzy nie chcieli iść tym razem za mytami starszego pokolenia, stawali nieraz wobec zupełnej pustki. Mam tutaj na myśli w szczególności dyskusję nad początkami państwa i społeczeństwa polskiego, przeprowadzoną w 14-ym tomie Rozpraw wydz. hist.-filoz. Akademii. Z trzech znajdujących się tam rozpraw dawno już przyznawaliśmy pierwszeństwo rozprawie Stan. Smolki. Zajęte przez niego stanowisko metodyczne było niewątpliwie najbliższe słuszności, ale i on był jeszcze daleko od wyzyskania wszystkich możliwości metodycz-

nych. Franc. Piekosiński, który miał wielkie zasługi badawcze ale zdolności syntetycznych nigdy nie wykazał, nie powtarzał wprawdzie starych mytów, ale sam tworzył nowe i to z taką nonszalancją, że dziś chyba nikogo nie może zadowolić. W najtańdniejszym bodaj położeniu znalazł się M. Bobrzyński. Zamykając swoje obserwacje do fragmentów, zachowanych z jednego tylko stulecia, więc do kroniki Galla i dokumentów jej współczesnych z w. XII, metodycznie pozbawiał się właściwie wszelkiej możności wnioskowania o epoce poprzedzającej. Trzymając się ściśle zasady M. Bobrzyńskiego, że źródeł, pochodzących z w. XII, należałoby wnioskować tylko o w. XII-ym, a nie o czasach wcześniejszych i nie o genezie państwa i społeczeństwa polskiego, gdyż te w samym tylko w. XII oczywiście nie powstały. Szkoda, że Bobrzyński nie wziął pod uwagę wcześniejszych o lat kilka uwag T. Wojciechowskiego, czy jeszcze znacznie wcześniejszych wywodów W. Surowieckiego czy nawet J. Potockiego. Tamci autorowie mieli więcej zrozumienia tego, że procesy historyczne, będące w gruncie rzeczy najistotniejszą częścią historii, nie mogą być obserwowane z małego okienka, jak gdyby na ułamek sekundy nam udostępnionego i że bieg historii, poznawany z szeregu dalszych jeszcze punktów, da nam lepsze wyobrażenie nie tylko o dalszych stadiach lecz o całości procesu. W kontrowersie: Bobrzyński contra Smolka o dopuszczenie także źródeł w. XIII do obserwacji, należy z całą stanowczością przyznać słuszność drugiemu z nich. Ale czynimy to w tym rozumieniu, a dla każdego myślącego historyka należy to przyjąć jako rzecz oczywistą, że pojęcie przebieganego dystansu będzie w każdym wypadku brane pod uwagę i starannie oraz metodycznie rozważone. W ten sam sposób mogą być dopuszczone do obserwacji również źródła późniejsze a w określonych warunkach nawet stan dzisiejszy (folklor, materialna kultura) z zachowaniem jednak wszystkich wypływających stąd konsekwencji. W ten sposób nawet Smolka, ulegając być może naciskowi psychicznemu swych partnerów, czystych „progresistów“, którzy świadomie zamykali oczy na wszelką regresję, nie postawił zupełnie wyraźnie strony metodycznej sprawy. Wyrzekanie się zaś wszelkiej regresji jest po prostu wyrzeczeniem się warunków do poznania prawdy. W rozpatrywanym przykładzie „progresista“ raczej instynktowny, Piekosiński, zastąpił metodyczną regresję przez wyłamania się spod wszelkich praw systematycznego i zachowującego jaką taką ciągłość myślenia a rezultatem tego będzie jego absurdalny działający niby „deus ex machina“ i powołany zarazem do zastąpienia wszystkich możolnie tworzonych przez innych konstrukcji badawczych, a tak zupełnie nie „źródłowy“ i nie „progresywny“, taki zarazem wszędobyłski i na wszystko znajdujący zbyt łatwą odpowiedź i tak symplicystyczny myślowo — najazd. W drugim wypadku naprawdę świadomy antyregresista, ale nie stwarzający dowolnie mytów, „do wszystkiego“ służących, i nie lekających się z pewnością nigdy mozołu myślenia, ale w tym wypadku występujący raczej jako teoretyk i „systematyk“ a nie jako historyk, M. Bobrzyński, stanął właśnie przed zupełną pustką, którą niczym zupełnie wypełnić nie zdołał. To, co pisze o roli państwa, jako czynnika budującego społeczeństwo, nie należy zupełnie do historii i w ramach badania historycznego nie ma na to wcale miejsca. Próbuje jednak tę rolę spełnić i na tym polega nieporozumienie. Nie jest to bowiem nawet zastosowanie jakichś zdobytych teoretycznych, osiągniętych w ramach nauk systematycznych humanistyki. Tak ogólnie uznanego

zastosowania wywody Bobrzyńskiego z pewnością nie posiadają. Jako narzędzie historyka zupełnie zawodzą. W rezultacie „państwo“ Bobrzyńskiego jest nie wiele lepsze od „najazdu“ Piekosińskiego, a z prac pierwszego z nich rzeczy o Genezie społeczeństwa nie postawimy, biorąc w całości na równi z jego pracami, poświęconymi w XV-emu, na prawdę wciąż ważkimi, w których „progresizm“ historyczny w oparciu o prawniczą, systematyzującą zdolność klasyfikowania miał szersze pole do sukcesów. Braków jednostronnego „progresizmu“ nie ustrzegł się nawet sam Smolka, w tym wypadku nie dość przenikający konieczności „regresizmu“, jak np. w sprawie genezy szlachty. W jego potraktowaniu tego zagadnienia brak jest zupełnie faktycznego materiału, który dopiero przez systematyczną regresję można by nagromadzić, a w to miejsce znajdujemy „czyste“ wyrozumowane „dowolności“. Błędem zaś jest nie samo uciekanie się do rozumowania, gdyż o to nikomu jeszcze procesu nie wyloczono, lecz wypadek rozumowania bez zdobycia należytej do tego podstawy. Potrzebny jest więc historykowi faktyczny materiał, a ten dać może w koniecznej ilości tylko regresja. W tym znaczeniu historia jest bezsprzecznie nauką indukcyjną. Musi mieć materiał gromadzony i oceniany, a jak to należy robić, daje pewne wskazówki już metodyka elementarna. W wypadkach bardziej skomplikowanych i trudniejszych — do tych chętnie zaliczymy także regresję — elementarna metodyka może nie wystarczyć, ale możliwości udoskonalenia szczegółowych metod badawczych są przecież wielkie i mogą być w detalach nawet rozprawdzone. W nauce historycznej „czysta“ dedukcja może mieć tylko dodatkowe znaczenie. Wiadomo przecież, że z pustego i Salomon nie należy. A właśnie o to chodzi, żeby tę pustkę zastąpić pozytywnymi wiadomościami. Do zdobywania nowej wiedzy tylko indukcja może służyć. W dalszych systematyzujących procesach dedukcja okaże się potrzebną.

W dziedzinie starożytności społecznych nowy ożywczy prąd wniósł dopiero O. Balzer, a to w swej niezbyt wielkiej ale na prawdę świetnej rozprawie — używanie zbyt częstych superlatywów nie podnosi zalet stylu naukowego — poświęconej sprawie tzw. zadrugi słowiańskiej. Wiadomo, że rozprawa ta powstała jako recenzja ze studium Kadleca, rozszerzona już w trakcie pisania przez polemikę z Peiskerem. Niezaprzeczenie zdarzało się już niejednokrotnie, że z pogłębionej recenzji powstawał nowy kierunek, a nawet nowa nauka (tak było podobno kiedyś z germanistyką). Recenzja Balzera ma w dziejach naszej nauki historycznej to znaczenie, że przynajmniej w dziedzinie starożytności społecznych pokazała „ad oculos“, jak można przez regresję pomnażać wartościowy materiał. To jest, jak sądzę, jej największa wartość. W samych wynikach osiągnęła wiele najpierw w polemice z Peiskerem. W syntezie urządzeń rodowych nie powiedziała ostatniego słowa, a tego trudno było wymagać od ...recenzji. W ustaleniu znaczenia i zasięgu „zadrugi“ lub „niedziału“ (ostatni termin polski zastępuje zupełnie dobrze poprzedni, przejęty od południowych Słowian, jest od tamtego mniej tajemniczy i obecnie już mniej wieloznaczny, pomijając nawet polityczne brzydkie z tym słowem skojarzenie, a to wszystko nie podnosi wartości terminu) poszedł O. Balzer może zbyt daleko, zwłaszcza jeżeli będziemy pamiętać, że niedział to jeszcze nie wszystko w życiu rodowym. Ale metodyczna wartość rozprawy jest niezaprzeczona. Jest ona zarazem najbardziej „indukcyjna“ i przez to stanowi dobry kontrast do poprzednich bezowocnych wysiłków wgrzyzenia się rozumowaniem... w pustkę. Nie ma też tej przesady racjo-

nalizowania — ten kierunek wystąpi jakby reakcja na poprzednie czysto indukcyjne próby dopiero później — która stanie się męczącą w późniejszych wielkich dziełach O. Balzera i pogrzebie zarazem ich konstrukcję. Rozprawie „O zadrudze słowiańskiej“ (1899) przypiszemy nawet większe znaczenie aniżeli o rok późniejszej syntetycznej i metodycznej rzeczy o historii porównawczej praw słowiańskich, a to, co wydobyte zostało w pismach pośmiertnych w zakresie starożytności społecznych, w ogóle nie dorównuje tamtemu ani problematyką ani źródłowym naświetleniem. Studia w zakresie starożytności społecznych Słowian zostały u nas, jeżeli nie po raz pierwszy, to w każdym razie na nowo i na nowym poziomie postawione. W dalszym ciągu, przynajmniej w odniesieniu do ściślejszych „starożytności“, studia te nie były zbyt licznie u nas reprezentowane, a to, co napisano w tym zakresie, nie zostało w nowszych opracowaniach ogólnych wyzyskane.

Na starożytnościach społecznych nie kończą się jednak zadania historyka. Na specjalną uwagę zasługuje też kwestia współpracy z przedstawicielami innych nauk. W swych badaniach nad starożytnościami słowiańskimi „Chrobacji“ T. Wojciechowski postawił kwestię metodyczną dość szeroko i do pewnego stopnia rewolucyjnie. Stan badań nad starożytnościami słowiańskimi w chwili, gdy to pisał, oceniał raczej pesymistycznie. Uważał, że podniesienie wartości tych badań zależy od naprawienia błędów metody. T. Wojciechowski, który sam napisał znany i niezmiernie cenny wykład o przedmiocie historii i o jej zadaniach („Co to jest historia i po co jej się uczymy?“ 1883), ze sprawami metod naukowych nie po raz ostatni tu się spotykał. On też zasadniczo określił odrębność dwu zasadniczych metod — sądząc że obie można zaliczyć do metod indukcyjnych, gdyż obu zarówno jest zadaniem gromadzenie i ocena wiadomości o instytucjach i zjawiskach — z których pomocą można poznać przeszłość, a mianowicie progresywnej i regresywnej. W pracach późniejszych, które przyniosły mu głównie sławę naukową, okazał się mistrzem jednej z nich. Której więc? Oczywiście progresywnej; gdyż „Szkice historyczne XI w.“, najbardziej znane i cenione dzieło ściśle historyczne tego autora, są pisane wyłącznie metodą progresywną. Wykazał tam istotnie wielką umiejętność i przenikliwość w czytaniu i rozumieniu tekstów. Do metody regresywnej, zastosowanej w „Chrobacji“, nigdy później już nie wrócił. Sama „Chrobacja“ była wspomniana dość często i dość długo odpowiednio do głośnego imienia autora, ale wpływ jej tylko z początku był dość znaczny a później w związku z wykazaniem braków teorii T. Wojciechowskiego przez F. Bujaka przestano się na niej opierać. Nie tylko więc długość czasu („Szkice historyczne XI w.“ ukazały się w pierwszym wydaniu przeszło 30 lat później), ale i znaczenie osiągniętych wyników zadeptydowało o tym. Nie kompromituje to zresztą samej metody regresywnej. Tak metoda progresywna jak regresywna mogą być stosowane bardziej lub mniej szczęśliwie. Prócz tego autor, jakkolwiek zaczął od metody regresywnej, mógł okazać więcej talentu i zdolności w zakresie progresywnej. W istocie T. Wojciechowski nie uwzględnił dostatecznie tego, że metoda regresywna może być stosowana także w zakresie źródeł ściśle historycznych w ich najklasycznej formie źródeł duchowych, w przekazach piśmiennych nam pozostawionych, jak to okazał praktycznie O. Balzer w swej „zadrudze“. Jeżeli z tym się w dalszym ciągu nie spotkał, to tłumaczy się zresztą w zupełności w fakcie, że poszedł w kierunku historii politycznej

i kościelnej a nie starożytności społecznych. Rozumiał regresję głównie jako ślady innego rodzaju z minionej przeszłości nawet bardzo odległej, a przedmiotem swych studiów uczynił jeden dość wąski dział pozostałości onomastycznych i w dodatku nie uniknął błędów, które dadzą się wykazać właśnie środkami rozporządzalnymi dla historyka. W klasyfikacji materiału oparł się mianowicie w części dość znacznej na samych końcówkach, które okazały się podstawą nie dość pewną, gdyż ulegającą późniejszym przemianom, które jedynie z pomocą źródeł historycznych dadzą się uchwycić, a w braku tych mogą zaprowadzić do mylnych wniosków. Najważniejszym założeniem T. Wojciechowskiego było przecież to, że metoda badania zależna jest od źródeł. Niewątpliwie jest to słuszne, choć w zastosowaniu musi to być rozprawowane. W zastosowaniu do starożytności słowiańskich za jedynie słuszną uważał metodę regresywną. Czy nie poszedł w swych rozważaniach zbyt daleko? Skąd taka zupełna nieufność do progresji w tej dziedzinie? Miało to swoje uzasadnienie w poprzednim stanie wiedzy w zakresie starożytności słowiańskich, a regresja miała już swoich dawniejszych wyznawców w J. Pollockim, głównie praktycznie, i w W. Surowieckim, głównie teoretycznie. Najdawniejsze dzieje Słowian prowadzą nas do epoki starożytnej. Nie da się zaprzeczyć, że bogate skąd inąd relacje starożytne o Słowianach bezpośrednio niezmiernie mało nam potrafią powiedzieć. W tej sytuacji znajdowali się też pisarze średniowieczni, a następnie nowożytni aż w głąb w. XIX, że musieli walczyć z brakiem Słowian pod ich późniejszą nazwą, gdy jednocześnie działa historyków i geografów starożytnych roily się od nazw różnych innych ludów. Cóż więc zdawałoby się prostszego, jak domyślać się Słowian pod jedną czy nawet paru tymi nazwami. Tylko wybór był trudny, a możliwości aż za wiele. Stąd też rodziły się tak niezmiernie liczne teorie, dopatrujące się Słowian w Scytach, Sarmatach, Roksolanach, Trakach i Dakach czy nawet Wandalach. Właściwej metody i krytycyzmu nie było w tym bądź zupełnie, bądź bardzo nie wiele. W miarę wzrastania wymagań ścisłości bezsilność progresji w tych warunkach stawała się oczywistą. Trzeźwy W. Surowiecki już w pierwszej połowie w. XIX wyciągnął stąd jedynie właściwy wniosek. Wszystkim, którzy łamali sobie głowę, od kogo pochodzą Słowianie, dał krótką i stanowczą odpowiedź. Słowianie pochodzą od Słowian. W tym paradoksalnym zdawało by się sformułowaniu, gdyż progresiści mogli uważać, że nie jest to w ogóle żadne rozwiązanie trapiącej ich zagadki, krył się przysły triumf regresji. Nie trzeba bujać w domysłach, a trzeba mocno trzymać się gruntu realnego. Miał więc już do kogo nawiązać T. Wojciechowski. Nabwał zaufania do metody regresywnej, ale zacieśnił ją zgodnie na ogół z poglądami swych w tej dziedzinie poprzedników do środków jedynie pomocniczych, a więc poza właściwymi źródłami historycznymi. Powstają też różnice terminologiczne pomiędzy dziś i wówczas. Pojęcie etnografii użyte było w szczególności w szerszym znaczeniu jako przeciwstawienie właściwych środków historycznych. Od czasów Zoriana Dołęgi Chodakowskiego nie różniano właściwie etnografii od prehistorii. Najważniejszym jest jednak dla nas ściślejsze rozróżnienie pomiędzy progresją i regresją, a to tym bardziej, że kwestia ta sięga również w dzisiejszą metodykę.

Najważniejszą jest w tym wypadku sprawa prehistorii. Wprawdzie dawny związek prehistorii z etnografią i antropologią, zostawiając na razie na uboczu językoznawstwo porównawcze, przetrwał do dziś nawet w obowiązujących programach nauczania, mimo to nie sądzę, ażeby metodycznie

nauki te tworzyły jedną całość. Wszystkie nauki humanistyczne, które przeciwstawiamy przyrodniczym — razem zaś z tymi jako przeważnie indukcyjne należałoby przeciwstawić naukom dedukcyjnym, o wiele mniej licznym i ograniczającym się właściwie do matematyki i logistyki — w dalszym ciągu słuszną będzie rzeczą, jeżeli podzielimy je na systematyczne i historyczne. Otóż tak antropologię jak etnografię, a obok tego językoznawstwo porównawcze zaliczymy do nauk systematycznych, a zasadą rozróżnienia będzie zajęcie się zjawiskami, dotyczącymi człowieka, jego strony psychicznej i jego życia społecznego (antropologia choć bada cechy fizyczne człowieka, ale nie dla nich samych, lecz dla określenia ich podkładu psychicznego i społecznego, a nadto, jak to podnosi J. Czekanowski, operuje typowo humanistycznymi metodami pracy, jak w szczególności metodą statystyczną w badaniach nad tzw. populacjami, stanowiącymi właściwie centralne zagadnienie tej gałęzi wiedzy) w postaci uogólniającej a bez szczególnego uwzględnienia kategorii miejsca i czasu. Tylko zastosowania antropologii i etnografii mogą się odnosić do historii, a nie ich zadania podstawowe i to samo odnosi się do językoznawstwa. Wymienione tu nauki, jak w ogóle wszystkie nauki systematyczne wśród nauk humanistycznych, operują w bardzo przeważnej części materiałem współczesnym, a tylko wyjątkowo sięgają także do materiału historycznego. Odmienne jest z prehistorią. Cały materiał tej nauki jest nie współczesny, lecz z minionych epok pochodzący, a w konstrukcji naukowej również kategorie czasu i miejsca odgrywają naczelną rolę. Prehistoria jest więc właściwie częścią historii, a ponieważ i w historii rozróżniamy dziś szereg wyodrębnionych dyscyplin naukowych, nie wyrzekając się zresztą ich pełniejszej syntezy, możemy powiedzieć, że jest jedną z nauk historycznych. W tych ramach wyodrębnienie następuje jednak nie według przedmiotu, jak to ma miejsce przy historii politycznej, ustrojowej i gospodarczej, kultury i literatury, sztuki, muzyki i nauki, lecz według metod szczegółowych zależnych od rodzaju źródeł. W obu wypadkach jest obowiązującą ta sama metoda obserwacji pośredniej poprzez ślady, pozostawione przez przeszłość, czyli źródła historyczne, tylko że gdy w historii mamy do czynienia ze źródłami duchowymi w tradycji głównie piśmiennej, to w prehistorii ze źródłami materialnymi. Ze źródłami materialnymi ma również wyłącznie do czynienia tzw. archeologia historyczna, którą przeciwstawiamy prehistorii czyli archeologii przedhistorycznej. Granicę między jedną i drugą można by przeprowadzić według tego, czy z danej epoki zachowały się obok źródeł materialnych także piśmienne. Prehistoria w dziale swym zwanym protohistorią wkracza jednak również w epokę, z której zachowały się pewne źródła piśmienne, jakkolwiek zwykle nie liczne. Praktycznie więc rozdziela się zwykle archeologię od prehistorii według tego, czy zabytki zachowały się nad ziemią czy pod ziemią. Z pewnością nie jest to rozróżnienie dosyć ściśle i nie wyłącza poważnych zajęć materialowych w obu wypadkach. Archeologia historyczna jest jednak nauką stosunkowo słabo rozwiniętą, a tłumaczy się to tym, że z epok, z których rozporządzamy bogatym materiałem źródeł piśmiennych, źródła materialne czyli tzw. „nie mówiące“ z natury rzeczy posiadają o wiele mniejsze znaczenie. Prehistoria za to rozwija się niezmiernie, gdyż ma do czynienia z okresami, w których albo nie spotyka się w ogóle z współczesnymi źródłami piśmiennymi, albo też ilością swych źródeł materialnych ogromnie nad tamtymi przeważa. Nie usuwa to

jednak współpracy obu nauk, gdyż nawet mała ilość źródeł „mówiących“ może wiele powiedzieć.

Warunki tej współpracy w różnych dobach rozwoju prehistorii rozmaicie się układały nie bez związku z kierunkiem zainteresowań naukowych tej ostatniej. W młodej jeszcze prehistorii z ostatniej ćwierci w XIX przeważały ogromnie zagadnienia, dotyczące najstarszego okresu kamiennego, a centralnym punktem zainteresowań były wciąż jeszcze groty Ojcowa i im podobne, a obraz ten nie zmienił się jeszcze zasadniczo w początku obecnego stulecia. Związki prehistorii z tych lat z historią były naturalnie słabe, a jedynie historia osadnictwa za granicą i u nas próbowała je nawiązać, ażeby osadnictwo przedhistoryczne późniejszych przynajmniej epok (najstarsza kamienna, jako koczownicza, nie nadawała się do tego) z osadnictwem historycznym móc złączyć (K. Potkański). W okresie między jedną wojną światową a drugą na czoło wysunęły się zagadnienia kultury „łużyckiej“, a więc już z okresu metalów, brązu i żelaza, które zbliżyły wzajemne zainteresowania historyków i prehistoryków ale jednak nie tyle jeszcze, ażeby o koniecznej i codziennej współpracy można było mówić. Punktem kulminacyjnym tego okresu było niewątpliwie odkrycie Biskupina. Ale ponieważ wszelkie „okresy“ zachodzą zwykle jeden na drugi, a więc i w tym wypadku zachodziła zmiana, która pociągała za sobą konieczność tej ściślejszej współpracy w związku ze zbliżeniem się prehistoryków do zagadnień wczesno-historycznych. Na innym już miejscu, w poznańskich Rocznikach Historycznych (XV 2 za r. 1939—46), pisałem o tym, że historycy niemal wyprosilili ten zwrot ku dobie wczesnohistorycznej, poprzednio bardzo zaniedbywanej u prehistoryków, i obszerniej o tym, jak wielkie i czasem wprost rewelacyjne odkrycia dało to w swym wyniku, a długi szereg badanych miejscowości, jak Biskupin drugi, wczesnohistoryczny, Gniezno, Kleck, Poznań, Opole, Santok, Wołyń, znaczy ten pomyslny ze wszech miar zwrot w prehistorii, czy raczej rozszerzenie granic zasięgu tej nauki, gdyż oczywiście i dawniejsze epoki, poprzednio już skupiające liczniejszych pracowników, nie są zaniedbywane. Ta codzienna współpraca, niezmiernie cenna i pożyteczna, a do nie dawna jeszcze tak, zdawałoby się, odległa, poza prekursorem zwrotu w osobie nie prehistoryka lecz historyka sztuki, mającego jednak niezmiernie bystry zmysł spostrzegawczy w zakresie tak topografii nadziemnej jak i wykopów podziemnych, nie przez niego zresztą robionych a tylko obserwowanych na terenie samego Krakowa, w osobie mianowicie Władysława Łuszczkiewicza (Rocznik Krakowski 1899), może jednak z czasem doprowadzić także do tarć, które należy się spodziewać, że drogą dyskusji naukowej zostaną wyrównane.

Dyskusja ta będzie jednak toczona na innej nieco płaszczyźnie aniżeli to się zwykle dzieje w obrębie tej samej ściśle dyscypliny wiedzy, operującej tymi samymi, a więc dobrze znanymi obu dyskutującym stronom metodami. W dyskusji, w której brać będą udział przedstawiciele odmiennych metod pracy i tradycji naukowych, sprawy samych metod i ich wzajemnego zasięgu będą musiały w większej mierze być uwzględniane. Źródło materialne, którym dysponuje prehistoria, ma niezmiernie wielką siłę dowodową w zestawieniu z legendą, tradycją ustną, a niekiedy nawet tradycją w piśmie utrwaloną, ale mimo to nie dość wiarogodną. O ileż bardziej na prawdę „materialne“ jest poznanie grodu gnieźnieńskiego lub poznańskiego w doskonale zachowywanych potężnych zabytkach drewnianych czy, jak w mniejszym ale bardzo wa-

rownym drugim z tych grodów częściowo też kamiennych, jakkolwiek głównym wyrazem mocy były właśnie konstrukcje drewniane, aniżeli mogą nam to dać bajeczki naszych kronikarzy, może nawet interesujące, ale z kulturalnego i porównawczego punktu widzenia. Ale obok pewności danego zdarzenia musi być także brany pod uwagę jego zasięg i znaczenie. Jest wiele dziedzin, o których źródła materialne nas nie informują lub w niedostatecznej tylko mierze. Źródła materialne są przecież „nie mówiące“. Cała etnografia przedhistoryczna, do której jeszcze przed laty, powiedzmy, czterdziestu wielu prehistoryków odnosiło się z największą nieufnością, w latach późniejszych pod wpływem niemieckiego Kosinny zadomowiła się na dobre. Opiera się ona na założeniu, że za określoną kulturą materialną kryje się również określona treść etniczna. Logicznie nie jest to nie możliwe i analogie z etnografią egzotycznej dzisiejszej zdają się w wielu wypadkach za tym przemawiać. Tym nie mniej pozostaje fakt, że kultura materialna i etniczna odrębność nie musi być tożsamością. W wielu wypadkach niewątpliwie tak nie jest i granice kulturowe nie pokrywają się z etnicznymi, gdyż wpływy pewnych kultur mogą przenikać na obszar zaludnienia obcego ugrupowania etnicznego, względnie odwrotnie pewne grupy etniczne, mimo że swym językiem i pochodzeniem łączą się w jedną całość, pod względem kulturowym mogą należeć do grup w części czy może nawet w znacznej części odmiennych. Etniczna treść danej grupy kulturowej jest w prehistorii prawie zawsze hipotezą. W wielu wypadkach musimy się zadowolnić większym lub mniejszym stopniem jej prawdopodobieństwa. Z tym ograniczeniem uzasadnienie jej gotowi jesteśmy w pełni przyjąć. Chodzi nam jednak o to, że gdy w określonych wypadkach z pomocą źródeł „mówiących“ zdołamy ustalić coś odmiennego, w takim razie hipoteza prehistoryka musi ustąpić. Wyjaśnijmy to jeszcze na konkretnym przykładzie. G. Labuda w: „Legendzie Jomsborga“ (Sprawozdanie Pozn. Tow. Przyj. Nauk XIII 1 Poznań 1946, str. 38—39) stawia tezę, że istnienie kosza normańskiego w ujściu Odry wbrew przyjętemu mniemaniu na drodze naukowej udowodnić się nie da. Mamy prawo odczekać jeszcze na przeprowadzenie ostatecznego dowodu. Ale jeżeli dowód się uda, to istnienie pewnych łączności kulturowych Wołynia ze Skandynawią nie wystarczy, ażeby powyższą tezę unicestwić. A więc stwierdzenie warownego grodu gnieźnieńskiego to co innego, a narodowość grodu wołyńskiego to co innego. W jednym wypadku większa jest waga argumentów „materialnych“ (prehistorycznych) a w drugim poświadczeniowych (historycznych). Mogą być jednak sytuacje bardziej skomplikowane, a mianowicie gdy żaden z tych argumentów nie daje zupełnej pewności, a w takim razie szanse ich się równoważą, względnie musimy się oglądać na zgodność jednych i drugich. W myśl tezy T. Wociechowskiego należy strzec się przede wszystkim błędów rozumowania, ale przed tym trzeba samo rozumowanie oprzeć o mocną podstawę nagromadzonego (i ocenionego) materiału indukcyjnego.

Za wielki i pozytywny wkład prehistorii w dziejach wczesnego średniowiecza należy się ze strony historyków rewanż na innym polu (i to nie tylko prehistorii ale również językoznawstwu), a mianowicie w dziedzinie historii starożytnej. Okres ten mimo wszystko nie zupełnie prehistorii, językoznawstwu czy jeszcze antropologii wraz z etnografią musi być pozostawiony. Nie mamy wprawdzie w tych czasach miejscowych źródeł piśmiennych słowiańskich, ale relacji starożytnych, dlatego że dotąd zawodziliśmy się niejednokrotnie na nich, zupełnie wyrzucać za burtę nie możemy. W r. 1873 T. Woj-

ciechowski, przeprowadzając krytykę metody progresywnej a zalecając metodę regresywną, wpłynął prawdopodobnie na dalszy rozwój nauki. Ale realizacja jego życzeń poszła, jak sądzę, zbyt daleko. Metodę regresywną reprezentują, choć nie tak wyłącznie i nie tak w komplecie jak to myślał T. Wojciechowski, nauki, które przychodzą historii z pomocą, ale które same historią nie są. Tak samo zakwestionowaliśmy regresję w tak ważnym wypadku, jak stosowaną pomoc ze strony prehistorii. Wspomnijmy przy tej okazji ostatnią książkę J. Kostrzewskiego pt. „Prasłowiańszczyzna. Zarys dziejów i kultury Prasłowian“ (Poznań, 1946). Tym nie mniej faktem jest, że dziś, zgodnie z życzeniem T. Wojciechowskiego, „starożytności słowiańskie“, poza jedynie okresem wczesnohistorycznym, gdzie udział historyków mimo wszystko jest wciąż największy, a jedna tylko prehistoria stara się temu swym wkładem dorównać, w odniesieniu do czasów dawniejszych, a w szczególności w stosunku do epoki starożytnej, opanowane zostały prawie wyłącznie przez nauki bądź rzeczywiście stosujące regresję, bądź łącznie z prehistorią, której metodę uważamy za progresywną, a brak jest natomiast niemal zupełny historyków. W czasach, gdy pisał swą „Chrobackę“ T. Wojciechowski i jeszcze w latach następnych, rozwijał swą działalność naukową w zakresie „starożytności słowiańskich“ Wojciech Kętrzyński. Pięć lat wcześniej wydał swą rozprawę niemiecką o Lygiach (Die Lygier, ein Beitrag zur Urgeschichte der Westslaven und Germanen. Poznań, 1868). Po upływie ćwierci wieku wydał cały szereg swych rozpraw polskich. A więc „O Słowianach mieszkających niegdyś między Renem a Łabą Salą i czeską granicą“ (1899 Rozpr. Akad. 40), dalej „Swawowie i Szwabowie“ (1902 Rozpr. Akad. 43) oraz „Co wiedzą o Słowianach pierwsi ich dziejopisowicze Prokopius i Jordanes“ (tamże) z pogranicza już epoki następnej. Nie ulega wątpliwości, że W. Kętrzyński stosował metodę progresywną. Odmienne niż T. Wojciechowski, z którym się spotykał przy każdym prawie ważniejszym zagadnieniu historiografii średniowiecznej, której obydwaj byli znakomitymi znawcami, a mamy tutaj na myśli, jak łatwo tego domyślić się, głównie same zabytki historiografii, nigdy w ogóle do regresji się nie uciekał. Był więc nie tylko „pur sang“ progresistą z talentu i upodobania, ale też nigdy tej metodzie na chwilę nawet się nie sprzeniewierzył. Nic więc dziwnego, że w chwili gdy zbliżył się do zagadnienia Słowian w tej odległej epoce, tylko w autorach starożytnych się rozczytywał i z nich starał się wydobyć obiektywną prawdę. Ale wiemy, że z tym połączone były znaczne trudności i że z usiłowaniami tymi połączonych było wiele niepowodzeń, a to właśnie wpłynęło na stanowisko, zajęte przez T. Wojciechowskiego. Czy więc również W. Kętrzyński spotkał się z niepowodzeniem? Nie da się zaprzeczyć, że w innych dziedzinach ten wybitny znawca źródeł i niezmqdowany ich komentator osiągnął trwalsze wyniki. Czy gdy chodzi o krytykę zabytków naszej historiografii, a tym bardziej ich wydanie — w okresie po A. Bielowskim, w pracy nad wydaniem w szczególności źródeł narracyjnych, W. Kętrzyński zajął niezaprzeczenie przodujące miejsce — czy gdy chodzi o ulubioną jego dziedzinę dziejów Prus Wschodnich i Zachodnich, łącznie już z kwestią krzyżacką (w dziejach Prus Wschodnich i Zachodnich zbliżał się do regresji, ale pozostał mimo to przy progresji), autor ten zajął stanowisko, którego nie podobna dziś ominąć. W zakresie „starożytności słowiańskich“, choć kładł w nie również niewątpliwie wiele talentu i wysiłku naukowego, jest za to omijany i pomijany.

Nie chcę twierdzić, że tezy W. Kętrzyńskiego są w całości dzisiaj do

przyjęcia. Sprawa identyfikacji Swewów ze Słowianami to trudny orzech do zgryzienia, a to pomimo, że tak wiele źródeł średniowiecznych i to nawet już bardzo wczesnych zdawało by się do tego zachęcać, czyli że nie samą tylko fantazją literacką zdawała się tutaj w grę wchodzić. Kto wie, czy prawda, jak to się nieraz zdarza, nie leży w pośrodku? To znaczy, że byli tacy i tacy, germańscy i słowiańscy. Z Germanią niewątpliwie tak było, jak poprzednio (w okresie greckim) z Celtyką, czyli że była różnoetniczna i różnojęzyczna. Była tylko pojęciem geograficznym a nie jednolitym etnicznym i dlatego Tacyt Wenedów (z geografiami łączyły się też pewne normy kultury w tym wypadku dla Tacyty najważniejsze, choć rodzaj kultury łączył się znowu z charakterem kraju i całego bytu: rolnictwo osiadłe lub napół osiadłe w Europie środkowej czyli w Germanii i koczownictwo w Europie połudn.-wschodniej, czyli w Sarmacji oraz związane z tym sposoby wojowania) w tym okresie już niewątpliwie Słowian, do „Germanów“ zaliczył. Zgódźmy się, że na zachód siedziby Słowian za daleko W. Kętrzyński zakreśla, gdyż ci dochodzili wprawdzie prawie do Renu tam, gdzie Men do niego wpływa, ale dopiero w epoce późniejszej, wczesnohistorycznej, i to tylko grupami a nie zwartym osadnictwem. Zasada natomiast dawnej zasiedziałości Słowian przed w. VI jest słuszna i W. Kętrzyński należy do wcześniejszych jej obrońców. Dwudzielność pierwotna Słowian jeszcze w w. VI, a nie trójdzielność, jak u Niederlego, jest możliwa (opiera się, jak wiadomo, o identyfikację Antów z Wenedami, a Słowian ze Suewami). Jordanes wyraźnie się waha między dwudzielnością a trójdzielnością. Tam gdzie mówi o „tria nomina“, może nie mieć na myśli trzech szczepów oddzielnych, a po prostu wylicza trzy znane mu „principaliter“ nazwy, obok których wiele innych jeszcze istnieje. W innym miejscu Wenedowie są wyraźnie dla niego nazwą ogólną. Stanowczo nazwami oddzielnych szczepów są tylko nazwy Antów i Słowian. Zaś Prokop z Cezarei, który nie jest źródłem gorszym od Jordanesa lecz raczej lepszym, nie daje już podstaw do tej konfuzji. U niego znajdujemy wyraźną dwudzielność na Antów i Słowian (za wschodnich i zachodnich uważa ich też W. Kętrzyński), a prócz tego wymienia jeszcze zagadkową nazwę Sporów, jako nazwę ogólną. Poszczególne identyfikacje dawniejsze, jak Ligiów, mają również wiele szams za sobą. W każdym zaś razie W. Kętrzyński jest tym, który najgłębiej wgrzył się w autorów starożytnych. Lubor Niederle nie uczynił tego nawet w części. Ograniczył się tylko do Wenedów, których wyrwał z całości. Może słusznie, ale nie na własną odpowiedzialność, gdyż tej całości sam nie zbadał. Jako utalentowany zresztą i odpowiedzialny eklektyk nie był do tego powołany. Z tą zaś całością plemiennych stosunków okresu starożytnego, którą inni autorowie poza W. Kętrzyńskim starannie omijali, ażeby się nie zetknąć z autorytetami nauki niemieckiej, jest tak, że wszystko raczej można powiedzieć aniżeli to, że wszystko tam jest zupełnie pewne i raz na zawsze ustalone. Pewne na to światło rzucił nie dawno poruszona przez Wład. Semkowicza z talentem i umiarkowaniem kwestia Silingów. Samo prześledzenie poglądów od J. S. Bandtkiego jest niezmiernie pouczające, ale najważniejszą dla nas w tej chwili jest nawet nie sprawa nazwy Śląska, o którą w tej dyskusji właśnie chodziło, lecz Silingów. Nie tylko u nas „progresja“ wykazywała bardzo znaczne braki pozostawione samej sobie. Szkoda więc, że po W. Kętrzyńskim głosy w sprawach etnografii starożytnej zamilkły, gdyż wzajemna kontrola nauki niemieckiej i polskiej względnie słowiańskiej byłaby z pewnością pożyteczną. Mniej było by wtedy mytów, które tak wielką są przeszkodą w roz-

woju nauki. Tymczasem nasza historiografia starożytna nie interesuje się zupełnie tymi tematami. Wyjątek, bardzo cenny ale fragmentaryczny, stanowi rozprawka L. Piotrowicza o „Ziemi śląskiej w starożytności“ (1929). Ważnym jest niewątpliwie przyznanie się Strabona, którego sumiennosc w tym wypadku autor podnosi, do małej znajomości tych odległych krajów na północy, ale i to wszystkiego nie rozstrzyga. Myślę, że dokładna krytyka autorów starożytnych w zakresie mapy etnicznej Europy środkowej może nie jedną jeszcze przynieść niespodziankę. Nauka nie może się przy tym cofać przed stwierdzeniami nie tylko pozytywnymi ale i negatywnymi, a możliwości w tym kierunku są znaczne (por. sprawa Silingów). Z mytami trzeba walczyć, tak samo jak i z fałszywymi autorytetami. (Zastępując historyków, na tę drogę wstąpił prehistoryk L. Kozłowski, ale w ograniczonym też zakresie).

Wypowiadamy się więc za wskrzeszeniem „progresji“, ale w związku z postęпами „regresji“, no i tej części „progresji“, którą daje prehistoria, a której znaczenie nauczyliśmy się cenić. Łączne operowanie tymi metodami jest niezmiernie cenne, gdyż rzeczywista synteza nie może być tylko „składanką“, lecz samodzielnie przepracowaną od początku i przemyślaną całością. W razie gdyby to napotykało na trudności, zrozumiałe przy operowaniu danymi zaczerpniętymi z innych nauk, przemawialibyśmy za podejmowaniem tych prób przez przedstawicieli różnych nauk, zarówno i za obecnością w tych próbach także historyków. Wielki talent w tym kierunku okazywał kiedyś K. Potkański, a jego dyskusyjna rozprawka „O pochodzeniu Słowian“ (1902), pozostająca w związku z dziełem Niederlego, zasługuje wciąż na przeczytanie i na przemyślenie. Zajmuje się on pochodzeniem, siedzibami najdawniejszymi i rozjściem się Słowian. Wiele korzysta z antropologii ówczesnej, ale dane, posiadane przez Niederlego, uzupełnia i wprowadza nowe punkty widzenia. Dla zmian antropologicznych ówczesna nauka antropologii dopuszczała prócz spraw krzyżowania też wpływy środowiska. Dzisiejsza antropologia zubożyła w tym kierunku istniejące możliwości. Nie ośmielamy się tego krytykować, ale sam fakt stwierdzamy. (Oczywiście niktby sobie tego nie wyobrażał, jako proces pośpieszny). Prócz tego wprowadzał Potkański, jako typowy „regresista“ w historii, także ważny materiał historyczny, głównie z terytoriów wolniej się rozwijających, jak to wynikało z jego metody. Szkoda, że w dzisiejszych badaniach nad starożytnościami słowiańskimi tak mało się pamięta o tym autorze.

Typową „regresję“ reprezentują: językoznawstwo, antropologia, etnografia, ale i inne bardziej wyspecjalizowane działy jak paleobotanika. Metody „regresywne“ z poza właściwej historii operują nieraz sposobami bardzo, że się tak wyrażę, sumarycznymi. Sposób prosty na pozór zdaje się zapowiadać wielkie rezultaty, których zresztą stopień pewności może podlegać dyskusji. Tak jest np. z głośną metodą paleobotaniczną. Granica buku, którego nazwa jest zapożyczeniem germańskim, ma więc ograniczać na zachodzie rozsiadlenie Słowian. Ale zwrócono już na to uwagę (Al. Brückner), że Słowianie mogli nie różnić z pomocą odrębnej nazwy buku od grabu, które to drzewa są niezmiernie do siebie podobne, a wtedy cała konstrukcja naturalnie zawiodła by w zupełności. Przeciwno zestawieniom językoznawczym, a w szczególności chronologii stąd wyprowadzanej podobne wątpliwości mogą również powstawać. Przykładem tego sprawa „króla“ u wszystkich Słowian zachodnich i części południowych, który to wyraz łączy się z imieniem Karola Wielkiego, posiadającego niegdyś znaczny autorytet w świecie słowiańskim. Według typo-

wych dla metod językoznawczych sposobów obliczania chronologii należało by wpływ ten cofnąć do okresu wspólności grupy zachodnio-słowiańskiej, a więc w każdym razie daleko poza w. VIII/IX, w którym żył istotnie Karol Wielki, będący oczywiście dobrze znaną postacią historyczną (por. O. Balzer). W chronologii „regresywnej“ zaciera się wiele „szczegółów“ — w tym wypadku Karol Wielki należy do takich szczegółów — które historyk przyzwyczaił się uważać za nie pozbawione znaczenia. Nie znaczy to, ażeby zupełnie zaniechać regresji. Ale prócz udoskonalania i wysubtelniania własnych metod korektura „progresywna“, uwzględniająca takie „szczegóły“, o ile tylko jest do osiągnięcia, jest bardzo potrzebną. A zwłaszcza gdy chcemy myśleć w kategoriach nie tylko systematyzujących ale także historycznych, tj. z możliwym uściśleniem pojęcia czasu. Zastrzeżenia historyków mogą też budzić rozstrzygnięcia czysto rozumowe, oparte na skąpym materiale indukcyjnym. Weźmy znany przykład, krytykowany przez samych językoznawców, podziału wszystkich ludów indo-europejskich na podstawie jednej tylko grupy wyrazów, a mianowicie zachodniego kentum i wschodniego satem. Na tej podstawie ludy słowiańskie zaliczone zostały do indo-irańskiej grupy i oddzielone od grupy europejskiej wszystkich indo-europejczyków. Logicznie jedna grupa wyrazów rozstrzyga wprawdzie o istnieniu łączności, ale tylko w tym ciasnym obrębie. Nie wpływa na istnienie innych łączności ze względu na inne grupy wyrazów, które prowadzą w tym wypadku w odmiennym kierunku, to znaczy ku stwierdzeniu łączności właśnie z grupą zachodnią. Przy zaszeregowaniach ogólniejszych moment ilościowy niezaprzeczenie musi być brany pod uwagę. Przy wywodach, opartych na danych językoznawczych, uwzględnienia nie jednej tylko lub paru grup wyrazów domagają się historycy (F. Bujak). Ale i językoznawcy już poważnie się z tym liczą, jak tego dowodzi ostatnia synteza w zakresie starożytności słowiańskich, a mianowicie T. Lehr-Splawińskiego, „O pochodzeniu i praojczyźnie Słowian“ (1946).

Autor ten łączność Słowian z Bałtami oparł na 1.600 takich zestawień wyrazowych. Nie będziemy tu wchodzić w same zagadnienia, postawione i rozwiązywane w tej książce, gdyż to nie jest naszym zadaniem obecnym. Zatrzymajmy się jednak przy podstawach metodycznych tam przyjętych. Teza nasza, że życzenie T. Wojciechowskiego z r. 1873 zostało zrealizowane w całej pełni, a jak wynika z poprzednich uwag aż „za bardzo“, znajduje tutaj również swoje potwierdzenie. Autor przyjął dwie główne podstawy dla swych wywodów. Pierwszą jest podstawa językoznawcza. W tym wypadku wystąpił jako specjalista i dał w istocie wiele bardzo ciekawych danych. W szczególności dla epok bardzo odległych, gdzie już kontrola historyczna zgola nie sięga. Każę się więc domyślać najstarszych podłoży etnicznych, a mianowicie śródziemnomorskiego i ugro-fińskiego. (We wpływach śródziemnomorskich wysunięcie elementu etruskiego nie jest dla mnie dość zrozumiałe, skoro wydaje się być prawdopodobnym, że zywioł etruski nie jest pierwotnie śródziemnomorskim, a w każdym razie italskim, lecz małoazjatyckim, który wyróżniamy od śródziemnomorskiego). Daje dla tych nawiązania prehistoryczne, niewątpliwie interesujące, jakkolwiek może trochę mechanicznie złączone. Nasuwa się w tym wypadku, że w braku kontroli z materiału progresywnego, poza prehistorią, którą też do progresji ale odrębnej zaliczyliśmy, dodatkową kontrolę moglibyśmy osiągnąć w danych tym razem nie paleobotanicznych, jak dawniej za Rostafińskim, ale paleozoologicznych. Chodzi tu nie o zwierzęta dzikie, w lesie lub polu mieszkające, lecz o zwierzęta hodowlane, a więc najbliższ z człowie-

kiem związane i jego losy często dzielące. O tych nie jedno wie na podstawie szczątków materialnych, a więc z zastosowaniem znowu, według naszej klasyfikacji, progresji — prehistoryk. Ale obok tego na podstawie regresji, z obserwacji nad dzisiejszymi zwierzętami domowymi i ich rozmieszczeniem, wiele może także powiedzieć uczony hodowca. W danym wypadku mam tu na myśli niezmiernie interesujące dociekania Z. Moczarskiego, profesora hodowli w Poznaniu. Autor może niesłusznie czyni, że połączywszy te badania z językowymi dociekaniami, w których sam się nie czuje specjalistą, ogląda się na współpracę innych, gdy wydzieliwszy swe studia paleozoologiczne i przystąpiwszy do ich najrychlejszej publikacji, mógłby oddać rzetelne usługi nie tylko nauce o zwierzętach hodowlanych, ale także badaniom nad starożytnościami słowiańskimi i przedśłowiańskimi. Wracając jednak do książki T. Lehr-Spiawińskiego, zauważymy jeszcze, że drugą jej podstawą główną jest prehistoria, w której autor sam specjalistą nie jest, ale którą usiłuje opanować na podstawie obfitej naszej literatury naukowej i wciągnąć do swego rozumowania i do swych wywodów. Dodatkowo czerpie jeszcze z antropologii, w oparciu przede wszystkim o J. Czekanowskiego i jego szkołę, a więc o materiał naukowy niezmiernie cenny, ale nie faworyzujący historycznych („progresywnych“) kategorii czasu, które w tym kierunku naukowym zgoda nie odgrywają znaczniejszej roli, a dalej korzysta jeszcze z „historii prawa“ (wolelibyśmy mówić o starożytnościach społecznych). W tym wypadku jedynie też spotyka się z historią, choć uwzględnia ją nie wystarczająco, a więc czyni to na gruncie regresji, gdy z progresją w naszym rozumieniu spotyka się jedynie w prehistorii. Klasycznej niejako progresji historycznej nie znajdujemy tu wcale. Wiadomości autora z okresu starożytnego nie sięgają poza Niederlego bardzo ograniczony zakres. Nie robimy z tego zarzutu, skoro sami historycy „starożytni“ zagadnień etnicznych Europy środkowej prawie zaniechali, ale stwierdzamy sam fakt. Daje natomiast ciekawe uwagi językowe, jak np. o Neurach i o związku tej nazwy z Herodotą z szeregiem wyrazów znanych z języków słowiańskich. Jest też materiał o Wenedach, ale sama konstrukcja o tym wymagała by jeszcze dyskusji.

Z „regresistów“ najsilniej moment ilościowy podnieśli (i słusznie) antropolodzy (J. Czekanowski). Pierwsi też, przed ostatnio językowcami, spróbowali szerokiej i nieraz na prawdę interesującej syntezy (tegoż „Wstęp do historii Słowian. Perspektywy antropologiczne, etnograficzne i językoznawcze“. 1927). Ale już w tytule dopiero wymienionej książki uderza, że historia jest tylko w spojeniu ze „wstępem“, a to właściwie do niczego nie obowiązuje, natomiast brak jej zupełnie w części drugiej tytułu, wyliczającej właściwe podstawy materiałowe. Nie ma też jej w istocie w książce ani w formie regresywnej, więc w odniesieniu do starożytności społecznych, ani w formie progresywnej czyli w nawiązaniu do najstarszych autorów. Ale i w sposobie myślenia widocznie pierwiastki systematyzujące są tak silne, że brak tu miejsca na kategorie historyczne. Przykładem tego może być chociażby sprawa Gotów, której obrona jest prowadzona w dalszym ciągu chyba tylko dla prestiżu, a która to sprawa nie sądzę, żeby miała większą doniosłość dla konstrukcji książki.

Najdawniejszą i najłatwiejszą była dotąd dla historyków współpraca z etnografami. Mam tutaj na myśli przede wszystkim Stanisława Ciszewskiego, który tak stawianiem zagadnień jak nawet materiałami użytkownikami był prawie historykiem. Ale współpraca jego była tym cenniejszą, że

obok materiału historycznego, który znał i umiał z niego korzystać, wnosił także niezmiernie cenny materiał etnograficzny, który nie raz tłumaczył te rzeczy, które z samego materiału historycznego trudne były by do zrozumienia. Prace jego (niemiecka „Die künstliche Verwandtschaft bei den Südslaven“ 1897, „Wróżda i pojednanie“ 1900, „Ognisko“ 1903, „Prace etnologiczne“ 1925) są trwałymi pozycjami w aparacie naukowym historyka. W ostatnim czasie z olbrzymim i niezmiernie też interesującym materiałem wystąpił Kazimierz Moszyński („Kultura ludowa Słowian“, 1929 dotąd 3 tomy). Natomiast jego „Badania nad pochodzeniem i pierwotną kulturą Słowian“ (1925) wywołują już i będą w dalszym ciągu wywoływać dyskusję ze strony przedstawicieli różnych sąsiednich nauk.

W konkluzji musimy powtórzyć to, co już raz powiedzieliśmy przed 19 laty, że „badania historyczne nie mają powodu rezygnowania ze swej samodzielności“, w stosunku do badań prehistorycznych, językoznawczych, antropologicznych i etnograficznych, jakkolwiek te „mogą im być nieraz pomocne“. W każdym zaś razie historycy nie mogą być w tych badaniach nieobecni.